

\*\*\*\*\*

Nasze dochody były teraz niemal równe zeru. Krowy produkowały znacznie mniej mleka, niektóre nic, bo były cielne. Brakowało paszy. Pora deszczowa miała nadejść za trzy długie miesiące i wtedy dopiero trawa pójdzie wysoko w niebo.

Anna miała rodzić tydzień po mnie. Zapowiedziała Florenowi, że odchodzi zaraz po porodzie. To nie było życie dla niej, twierdziła. Chciała trochę pożyć, a nie wiecznie walczyć o przetrwanie. Rozumiałam ją całkowicie. Prymitywne życie LeBaronów zabijało i mnie. Zazdrościłam jej determinacji.

Od kilku miesięcy Verlan rozważał nasz powrót do Stanów, do Salt Lake City, gdzie dołączylibyśmy do grupy fundamentalistów skupionych wokół wuja Rulona. Zdawał sobie sprawę z tego, że niezbędne są lepsze warunki socjalne i materialne. Obawiał się jednak opuścić Meksyk. Jego nieżyjący już ojciec, Alma Dayer LeBaron, nakazywał synom, by pozostali wraz z rodzinami w Meksyku. Wierzył, że któregoś pięknego dnia wezmą oni udział w wielkim dziele, które się tam dokona. Jeden z nich zostanie wezwany do świętego kapłaństwa jako bezpośredni spadkobierca duchowy samego Józefa Smitha. Tymczasem byliśmy po prostu pozbawieni jakichkolwiek środków do życia.

- Musimy prosić Boga o pomoc - powiedział Verlan cichym, pokornym głosem któregoś wieczoru do mnie i Charlotte. - Żeby w jakiś sposób ratował nas z biedy albo wskazał, dokąd mamy pójść.

Uklękliśmy więc w kole, trzymając się za ręce. Po kolei prosiliśmy Boga, by nas prowadził. Potem położyliśmy się spać z nadzieją na lepsze jutro.

Verlan, jak co dzień, wstał przed świtem. Zaprzągnął konia do starej brony i poprowadził go na pole, które miał orać przez cały dzień. Zwykle przychodził na obiad koło południa. Tym razem czekałyśmy do wpół do drugiej, a jego nie było. Wyniosłam więc mu na pole nasz ostatni słoik wiśni i łyżkę, żeby coś zjadł. Wiedziałam, jak bardzo jest załamany, i chciałam jakoś go pocieszyć. Miałam nadzieję, że zrobię mu niespodziankę.

Znalazłam konia przywiązane do ogrodzenia z drutu kolczastego, bronę z boku, Verlana ani śladu. Zaorał tylko osiem bruzd. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Kilka razy wołałam go po imieniu, ale bez odpowiedzi. Może ukąsił go grzechotnik i leży gdzieś martwy? Z płaczem szukałam go wśród niskich zarośli. W końcu poszłam do domu, by tam na niego czekać. Charlotte ogromnie się zmartwiła.

Około dziewiątej wieczorem wreszcie wrócił w towarzystwie Florena i Anny.

- Musiałem was wszystkich zebrać, żeby się z wami podzielić cudowną nowiną - ogłosił

Był tak podekscytowany, że nie miałam serca, by się na niego złościć za tajemnicze zniknięcie, zwłaszcza że za tym być może kryła się ręka boża. Usiedliśmy wszyscy za stołem, gotowi na dobre wieści. Verlan promieniał ze szczęścia. Wiedziałam, że ma nam do powiedzenia coś naprawdę wyjątkowego.

- Bóg odpowiedział na naszą modlitwę! - zaczął. - Modliłem się prawie całą noc, by nas wysłuchał, pobłogosławił i pozwolił nam zostać w Meksyku, jeśli taka jest Jego wola. Dziś rano, kiedy tylko zacząłem orkę, zatrzymał się przy drodze samochód. Wsiadł z niego Amerykanin i podszedł do miejsca, gdzie orałem. Powiedział, że nazywa się Dick Loomis, i spytał, czy umiem robić ser. Ja na to, że oczywiście. Zabrał mnie na ranczo jakieś sto kilometrów od nas, nazywa się Terrenates, koło miasta Flores Magon. Chce, żebym od razu zaczął u niego pracować. Będziemy kupować krowy ze Stanów. Założymy fabrykę serów, najlepszych w Chihuahua. I to jeszcze nie wszystko. Da nam jedenastopokojowy dom dla naszej rodziny; z elektrycznością! Wyobraźcie sobie! Gorąca woda w kranie. Umieblowany. Mają ogródek warzywny. Możemy z niego brać tyle jarzyn ile chcemy. Powiedzieli, że raz na miesiąc zabiją byka i będziemy mieć za darmo mięso. Oprócz tego pełno mleka, ser, jajka... i to jeszcze nie wszystko! Będą mi płacić dwa dolary dziennie! - rozpromienił się. Był rozgorączkowany, oczy mu błyszczały.

- Floren i ja, obaj z rodzinami, będziemy mieszkać w tym domu. Będziemy żyć w dostatku! Joel z żoną w górach, Alma i Ervil tu, na ranczu - wszystkim nam będzie się lepiej powodzić!

Uklękliśmy do modlitwy, by podziękować Bogu za Jego dobroć, za nasze ocalenie.

Później, już w łóżku, wyznałam Verlanowi moje rozczarowanie:

- Miałam nadzieję, że przeniesiemy się do Stanów, ale oczywiście ta przeprowadzka też mnie cieszy.

- Irene, będziesz musiała się jeszcze trochę poświęcić. Naprawdę wolałbym cię o to nie prosić, ale na razie musisz się przenieść do Spencerville, do dwupokojowego domku ciotki Annie. To tylko do porodu. Ja wyjeżdżam do Stanów po krowy i maszyny. Zaczynam nową pracę już jutro.

- Verlan, ale co z dzieckiem? Przyjedziesz, kiedy będzie się miało urodzić?

- Bądź cierpliwa. Bóg nie pozwoli cię skrzywdzić. Nie mogę przepuścić takiej okazji. Jeśli nie dam rady wrócić na czas, będzie przy tobie Charlotte. Musisz nauczyć się mieć większą wiarę i pewność w Panu - wyjaśnił, po czym delikatnie mnie pocałował, odwrócił się i po chwili jego głośne chrapanie zagłuszyło mój cichy płacz.

Według kalendarza na ścianie, był 6 sierpnia. Termin porodu miałam dwunastego, ale bardzo chciałam uporać się z tym jak najszybciej. Cała opuchnięta, czułam się ogromna i brzydka. Nienawidziłam swoich dwóch spłowiałych strojów ciężowych. Nie mogłam się doczekać dnia, kiedy potnę je na małe kawałeczki i przekształcę w papier toaletowy.

Chorowałam od powrotu z wizyty u doktora. Ciągłe bolała mnie głowa. Wszyscy mi mówili, że to po prostu nerwy, a Ervil nawet oskarżył mnie o tchórzostwo. Może to i była prawda. Postanowiłam jednak, że w czasie pierwszego porodu chcę mieć przy sobie lekarza, nawet jeśli będzie to mężczyzna. Czułam, że coś było nie w porządku już od dnia, kiedy opowiedziałam Verlanowi o moim dziwnym przeczuciu. Błagałam więc, by pozwolił mi za pierwszym razem rodzić w szpitalu. On, jak zwykle, próbował zbagatelizować sprawę.

- Rodzenie dzieci to najbardziej naturalna sprawa pod słońcem - mówił ze śmiechem.  
- Każda matka na ziemi przez to przechodzi.

To samo na ten temat sądził Ervil:

- Delfina urodziła trzy dziewczynki w domu. To nic trudnego, tak samo jak krowa rodzi cielaka.

Myślałam sobie, że to ciekawe, że wszystkie te mądrości słyszę z ust mężczyzn.

Co noc płakałam - a przynajmniej tak mi się zdawało. Nie chciałam być tchórzem, ale tęskniłam za Utah. Czułam, że potrzebuję matki. Najbardziej jednak przerażał mnie fakt, że mam urodzić bez Verlana. On sam wyjechał dwa tygodnie wcześniej na ranczo Terrenatesów, odwożąc wcześniej mnie i Charlotte z dziećmi do Spencer.

- Będiesz w dobrych rękach - zapewnił mnie.

Ciotka Sylvia, akuszerka (jednocześnie matka Lucy) mieszkała tylko półtora kilometra od dwupokojowej glinianej chaty, której użyczyła nam ciotka Annie. Charlotte - co było niezwykle miłe z jej strony - zaoferowała, że zostanie, by troszczyć się o mnie do i podczas porodu. Czegóż jeszcze mogłam pragnąć? Mimo wszystko czułam się bardzo rozchwiana. Nogi i stopy miałam tak opuchnięte, że ciężko mi było chodzić. Wyobrażałam sobie komplikacje - a co się stanie, jeśli coś pójdzie nie tak? Chociaż dotzymałam obietnicy i nikomu nie zdradziłam ni słowa o moim przeczuciu, pamiętałam o nim cały czas i błagałam Boga, by okazało się fałszywe. Pragnęłam żywego, zdrowego dziecka.

Zgodnie z poleceniem ciotki Sylvii piłam dużo herbatek ziołowych. Według niej powinno to zmniejszyć opuchliznę dłoni i stóp. Pocięłam się myślą o mojej prababce, która urodziła kilkoro dzieci w Meksyku przy pomocy samej akuszerki. Pragnęłam być jak ona. Należałam przecież do rodu pionierów. Czy będę mniej odważna od niej? Wciąż się modliłam i składałam swój los w ręce Boga.

Skończyłam właśnie zmywać po śniadaniu, kiedy poczułam potworny ból, jak przy biegunce. Pobiegłam czym prędzej do starego wychodka, ale ból się utrzymywał, więc chwając się, wróciłam do domu. Spojrzałam na zegar - było samo południe. Charlotte ujrzała mnie rozciągniętą na łóżku i całą we łzach i spytała:

- Zaczęło się?

Odpowiedziałam kołysaniem w tył i w przód, masowaniem ud i brzucha. Czułam ogromny nieprzerwany ból. Natychmiast zjawiała się ciotka Sylvia. Od tej chwili pamiętam już bardzo niewiele, z wyjątkiem tego, że leżałam tam całymi godzinami, czując, że umieram.

Matka Charlotte, ciotka Rhea, dokładnie wtedy, gdy rozpoczął się mój poród, przybyła ze Stanów z wizytą. Marden, jeden z chłopców Spencerów, przywiózł ją z Utah. Zdażyła

tylko wysiąść z samochodu, a on odjechał na ranczo Terrenatesów po Verlan. Od wielu dni już padało i drogi były błotniste. Wiedziałam, że miną godziny, zanim pojawi się mój mąż.

O czwartej po południu Alma przywiózł z pobliskiego El Valle doktora Ramireza. Doktor Hatch mieszkał bowiem kilka godzin drogi od nas, koło Casas. Doktor Ramirez był w stosunku do mnie niedelikatny i nieprzyjemny. Myślałam, że rozerwie mnie na pół, kiedy wsadził we mnie palce do badania.

- Potrwa to jeszcze osiem do dziesięciu godzin. Jeśli będę potrzebny, proszę po mnie przysłać - orzekł i pojechał. A miał na myśli dokładnie to: „Kobietko, czego chcesz ode mnie? Po prostu urodź i już”.

Potem zegar stanął w miejscu. Każde dziesięć minut wydawało mi się wiecznością. Odpływałam w stan nieświadomości i wracałam do świata, i tak bez przerwy. Minęła dziesiąta. Spodziewałam się Verlana dużo wcześniej, nawet przy zniszczonych ulewami drogach. Wsłuchiwałam się z wysiłkiem w szum deszczu, nasłuchiwałam odgłosów przejeżdżających po wybojach samochodów i za każdym razem miałam nadzieję, że to nadjeżdża Verlan, by pomóc mi przejść przez ten koszmar. W malignie wołałam go ciągle po imieniu.

Ciotka Sylvia zaczęła się poważnie niepokoić moim półprzytomnym stanem. Spytała Charlotte, dlaczego ja nie współpracuję. Ciotka Rhea próbowała mnie jakoś zmobilizować, masowała energicznie moje nogi i dłonie. Charlotte podtrzymywała mi głowę, a ciotka Sylvia próbowała mnie napoić kawą, żeby mnie trochę ożywić. Ale ja odmawiałam. Nauczono mnie, że kawy się nie pije i już. Chciałam tylko jednego - żeby zostawiły mnie w spokoju i żeby przyszedł Verlan. Przedtem ledwie go potrzebowałam, a teraz rozpaczliwie pragnęłam, żeby się pojawił. Traciłam przytomność i znów ją odzyskiwałam. Słyszałam przytłumione głosy kobiet.

- Irene, to prawie już. Pojawia się główka. Musisz teraz współpracować. - To był głos Sylwii.

Charlotte instruowała:

- Przyj, ciągle przyj, teraz odpocznij, bardzo dobrze! Miałam spierzchnięte usta. Charlotte podawała mi wodę, którą piłam małymi łydkami. Z zamroczenia wyrwał mnie rozdzierający ból. Przy każdym skurczu krzyczałam. Dopingowały mnie:

- Przyj, Irene, przyj. Jeszcze tylko parę razy i będzie po wszystkim.

- Ratunku, ratunku! - jęczałam, kiedy główka dziecka przeciskała się ku wyjściu.

Charlotte stanęła po jednej mojej stronie, ciotka Rhea po drugiej. Trzęsąc się ze strachu i wycieńczenia złapałam je za ręce i parłam z całej siły.

- Irene, oddychaj, oddychaj - rozkazywała Charlotte. Byłam posłuszna, ale czułam się tak, jakby w moim wnętrzu rozlał się gorący kwas. Jeszcze jedno parcie, gorący krzyk, i główka dziecka wyszła na zewnątrz.

- Przyj dalej, żeby wyszły ramionka - instruowała ciotka Rhea. - Najgorsze już prawie za tobą.

Uczepiona ich rąk parłam dalej, by nagle poczuć ulgę w chwili, gdy dziecko wyskoczyło prosto w ręce ciotki Sylwii.

- To dziewczynka! - wykrzyknęła Charlotte. - Śliczna, maleńka dziewczynka!

Charlotte ucałowała mnie w czoło i wytarła je jeszcze raz chłodnym, mokrym ręcznikiem. Spojrzałam na zegar - było dziesięć minut po północy. Przetrwałam dwanaście godzin prawdziwego piekła. Wtem usłyszałam ciszę.

- Dlaczego ona nie płacze?! - wrzasnęłam jak szalona. Oparłam się na łokciach i patrzyłam, jak ciotka Sylvia gumową strzykawką odciąga śluz z nosa dziecka.

- Błagam, Boże, błagam, niech zacznie płakać!

Wtedy Sylvia uderzyła ją w maleńką pupkę i moje kochane dziecko wydało z siebie pierwsze krzyki. Widziałam, że wciąż łączy je z moim ciałem gruba, pomarszczona pępowina, przez którą karmiłam dziecko przez dziewięć miesięcy. Krzyczało tak, jakby obdzierano je ze skóry.

- Dajcie mi ją, proszę - błagałam. Ciotka Sylvia na to:

- Uspokój się, wszystko jest dobrze. Przetnijmy najpierw pępowinę. Dostaniesz ją, jak ją wyczyścimy.

- Nie, teraz, dajcie mi ją teraz - nalegałam. Gdzieś w głębi duszy bałam się, że Bóg ukradkiem mi ją odbierze. Tylko po to, by mnie uspokoić, ciotka Sylvia poddała się i położyła maleńkie ciało na moim brzuchu. Trzymałam ją za drobne rączki, słyszałam jej popiskiwanie. Potem puściłam jedną z jej rączek, by przełożyć ją na boczek, a ona nagle złapała mnie za palec wskazujący. Zastanawiałam się, jak to możliwe, by kobieta porzuciła taki bezcenny, wspaniały dar od Boga.

- Jesteś moim cudnym aniołkiem - powiedziałam pieszczotliwie. - Dam jej na imię Leah - oznajmiłam. Cieszyłam się, że Bóg przychylił się do moich wielomiesięcznych próśb. Odprężyłam się i podałam moją dziewczynkę z powrotem ciotce Sylvii, by mogła przeciąć pępowinę.

Kiedy to zrobiła, zawinęła dzieciątko w ręcznik i podała Charlotte.

- Dalsze przywileje należą do ciebie. Charlotte wzięła zawiniątko i powiedziała:

- Irene, jest śliczna.

Zaczęła delikatnie myć różowe ciało bawełnianą szmatką zmoczoną w ciepłej oliwie. Stanowczo zażądałam, aby maleńka nie zniknęła przypadkiem z moich oczu. Charlotte zapewniła, że gdy tylko skończy swoje zabiegi, dziecko wróci w moje ramiona.

Podczas gdy Charlotte pielęgnowała Leah, ciotka Sylvia zajęła się mną.

- Musimy jeszcze wypchnąć łóżysko. To nie boli - zaordynowała.

Parłam niechętnie, aż do skutku. Patrzyłam zafascynowana, jak ciotka uważnie je bada, ogląda z każdej strony, czy nie jest uszkodzone lub naderwane.

- W porządku. Teraz możemy zająć się łóżkiem.

Patrzyłam na mój płaski brzuch i dziękowałam Bogu, że już po wszystkim, gdy nagle usłyszałam głos Charlotte, wzywającej pomocy. Przekazała dziecko ciotce Sylvii, krzyżąc:

- To dziecko wygląda, jakby umierało!

Ciotka ponownie oczyściła nos i gardło dziecka strzykawką. Potem, trzymając jedną ręką za jego plecki, drugą zaś za maleńkie piętki, zginała mu energicznie kolanka, tak by dotykały do klatki piersiowej. Uderzyła kilka razy w pupkę maleńkiej, ale bez skutku.

- Boże! - krzychałam. - Nie rób mi tego! Boże, Boże, błagam, nie! - Wiedziałam jednak, że Bóg nie słuchał.

Pierwsze rozległy się szloch Charlotte. Potem ciotki Rhei. Ciotka Sylvia zaś potwierdziła to, o czym już wiedziałam:

- Ona nie żyje, Irene. Nie żyje.

Byłam tak sparaliżowana, że nie mogłam płakać. Leżałam po prostu w szoku, otępiała obserwowałam, jak ciotka Sylvia sprząta łóżko, przetacza mnie z boku na bok, by wymienić prześcieradło, a potem, jak ubiera maleńkie ciało w bluzeczkę z długim rękawem, żeby było mu ciepło, a na to wkłada satynową sukieneczkę, którą uszyłam ze skrawków. Na karczku miała wyszyte delikatne różowe różyczki.

Charlotte zastanawiała się, gdzie ją ułożyć. Przykryła kocem z wyprawki małej wiewiórki na zabawkę i tam złożyła bezwładne ciało.

- Co mam teraz zrobić? - spytała bezradnie.

- Patrz na mnie. Nauczę cię, jak postępuje się ze zmarłym - szepnęła ciotka. Oddarła dwa wąskie paski materiału z jednej z nowiutkich flanelowych pieluszek. Jeden ułożyła pod bródką dziecka, zamknęła mu buzię i związała oba końce w kokardkę na czubku głowy. Potem skrzyżowała maleńkie rączki Leah na jej piersi z poleceniem: - Trzymaj, a ja je zwiążę. - Z portmonetki wyjęła dwie małe monety. - Patrz, Charlotte, ma wpółprzymknięte powieki. Zamknij je. Teraz na każdej połów monety. Kiedy rozpocznie się stężenie pośmiertne, można je wyjąć. Oczy pozostaną zamknięte. To samo z rączkami i buzią - buzia będzie zamknięta, a ręce będą leżeć na piersi.

Patrzyłam, nie mogąc uwierzyć. Ledwo znosiłam życie - jak miałam sobie dać radę ze śmiercią? To nie mogło być prawdą. Leżałam cicho. Ogarnęło mnie emocjonalne otępienie.

Jakiś czas później usłyszałam podjeżdżający pod dom samochód.

To musiał być Verlan. Charlotte wyszła przed dom, by go przywitać. Słyszałam w jego głosie podniecenie:

- Czy to była dziewczynka? - pytał gorączkowo.

Potem zapadła cisza i po chwili rozległy się szybkie kroki od drzwi. Kroki uderzały bezpośrednio w moje serce, druzgocząc je. Wszedł cicho do pokoju. W przytłumionym świetle lampy widziałam głęboki smutek na jego twarzy. Ukląkł przy łóżku i wziął mnie w ramiona. Widząc moją twarz pozbawioną wszelkich emocji, przypomniał sobie o moim dawnym przeczuciu.

- Skąd wiedziałaś?

- Po prostu wiedziałam - odpowiedziałam. - Wiedziałaś. Ukrył twarz w mojej piersi, szlochając jak dziecko.

- Dlaczego mnie tu nie było? Spóźniłem się tylko dwadzieścia minut! Irene, jesteś za młoda, by tego doświadczać! - płakał.

Wstał z klęczek, podszedł do kosza z zabawkami i przyglądał się naszej małej Leah. Patrzyłam, jak z oczu kapią mu łzy. Szybko wrócił do mnie, położył się w wilgotnym ubraniu obok mnie na łóżku i mocno objął, jakby w obawie, że ja również mogłabym odejść.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Leżałam tam tylko, jak trup. Verlan szlochał, ja nie. Patrzyłam, jak zwija się w bólu, jak jego ciało poddaje się gwałtownemu płaczowi, w wyniku którego wreszcie zasnął. Po paru minutach obudził się i znowu podszedł do miejsca, gdzie leżała malutka, by przyjrzeć się jej z bliska. Głaskał ją po jedwabistych brązowych włoskach, dotykał jej paluszków. Potrząsał głową i głęboko wzdychał, kiedy odkrył, że jej paznokcie zaczynają już ciemnieć.

Wrócił znów do mojego łóżka, by mnie pieścić i uspokajać. Ciągłe płakał i znowu ukołysało go to do snu. Patrzyłam, jak jego pierś unosi się w rytmicznym oddechu. Nienapełniona lampa mignęła raz, drugi i zgasła - jak światło w moim sercu.

Następnego ranka, gdy o szóstej zapał kogut, Verlan obudził się, by stawić czoło brutalnej rzeczywistości. Czekają go przygotowania do pogrzebu - dużo pracy. Pożyczył kilof i szpadel i wynajął dwóch Meksykanów do wykopania grobu w El Valle. Ponieważ nie mieliśmy własnego samochodu, zawiózł ich tam półciągarówką Spencerów. Po drodze zatrzymał się w urzędzie, by powiadomić władze o narodzinach i śmierci dziecka. Przedtem wysłał dwunastoletniego meksykańskiego chłopca, naszego sąsiada, wierzchem do Joela na ranczo LeBaronów, by również go zawiadomić.

Joel po otrzymaniu smutnej wiadomości poinformował resztę rodziny. Zebrał potem trochę narzędzi i gwoździ, osiodłał konia i przyjechał do Spencerville. Był u nas około dziesiątej.

Z łóżka obserwowałam go, jak ze sterty starych, mokrych desek wybiera najlepsze na trumnę. Mierzył najpierw nieheblowane drewno, a potem tępą piłą docinał każdą deskę na potrzebny wymiar. Śledziłam każdy jego ruch, a trumna nabierała kształtów. Kiedy wbijał w nią gwoździe, czułam, jak każdy z nich rani moje obolałe serce.

Kiedy Joel zrobił wieko, wbił w jego rogi gwoździe tylko do połowy, żeby przybić je mocniej, kiedy w środku znajdzie się już ciało malutkiej. Przyniósł ową surową, toporną trumnę do kuchni, gdzie ciotka Sylvia wraz z Charlotte wymościły je nowymi, białymi pieluszkami, aby zakryć sękate deski i uchronić Leah przed sosnowymi drzazgami.

Verlan przyszedł wtedy do mnie i po raz ostatni podał mi w ramiona naszą małą córeczkę. Patrzyłam na jej popielatą, drogą twarzyczkę. Jej oczy nie mrugały - nie mogły. Długo i wnikliwie przypatrywałam się dziecku. Czas prawdopodobnie uleczy rany, lecz jej śliczne rysy pozostaną we mnie na zawsze, na wieki wyryte w mej pamięci.

Verlan zabrał mi ją wreszcie i delikatnie umieścił w skromnej trumience. Minęło właśnie południe. Wiedział, że to już czas. Na podwórko zajeżdżał samochód Spencerów. Delfina, Anna, Floren, Ervil i czternaścioro Spencerów weszli do pokoju, gdzie leżałam. Zbili się w ciasną gromadkę, a dziesiątka dzieci przysiadła w nogach łóżka i po jego bokach. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, ale dorośli ustawili się w rzędzie i po kolei przesuwali się przed trumną Leah. Joel odmówił modlitwę. Floren i Verlan przykryli trumnę wiekiem, a Joel mocno przybił pozostałe gwoździe, upewniając się, czy wieko dobrze się trzyma.